



JERZY KRZYŻANOWSKI
MAGDA KRZYŻANOWSKA-MIERZEWSKA

WEDŁUG OJCA, WEDŁUG CÓRKI

historia rodu



WEDŁUG OJCA, WEDŁUG CÓRKI



ANITA HALINA JANOWSKA

Krzyżówka

PHILIP MARSDEN

Dom na Kresach

ANDA ROTTENBERG

Proszę bardzo

MAGDALENA SAMOZWANIEC

Z pamiętnika niemłodej już mężatki

MICHAEL SKAKUN

Scenariusz ocalenia

ANDREW TARNOWSKI

Ostatni mazur

JERZY KRZYŻANOWSKI
MAGDA KRZYŻANOWSKA-MIERZEWSKA

WEDŁUG OJCA, WEDŁUG CÓRKI

historia rodu

Książkę wydano przy wsparciu finansowym
Miasta Gdańska.



Książkę wydano przy wsparciu finansowym
Prezydenta Miasta Gdyni.



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Pamięci naszych bliskich

Jerzy Krzyżanowski

Żadna siła, żadna burza...

PROLOG

Książka ta opisuje stopniowy proces opuszczania Lwowa i Kresów Wschodnich przez jedną z polskich rodzin w pierwszym pięćdziesięcioleciu XX wieku.

W odniesieniu do moich rodziców i dziadków mojej córki Magdy wynikał on z fascynacji budową Gdyni w latach dwudziestych i ze wspaniałego gdyńskiego, przedwojennego dziesięciolecia. Natomiast w odniesieniu do pozostałych we Lwowie krewnych – w konsekwencji obrad Wielkiej Trójki w Teheranie (1943) o powojennych granicach Polski i w wyniku dyskusji prowadzonej w Jałcie (1945) o formie zarządzania Polską po wojnie, przypieczętowanych ostatecznie w Poczdamie (1945) – część z nich w powojennej Polsce za swoją siedzibę obrała również Gdynię.

W książce zebraliśmy wspomnienia nasze oraz tych członków rodziny, którzy jeszcze mogli i chcieli poświęcić nam czas na nagrania ich wspomnień i refleksji. Im wszystkim oboje z Magdą serdecznie dziękujemy w innym miejscu książki.

Szkieletem tego opisu jest także korespondencja rodziców, zachowana w niejasnym trybie archiwalnym, korespondencja z ojca internowania, lwowska korespondencja dziadka Kruga i cioci Stasi Wimmerowej z mamą w latach 1940–1944.

Łącznie jest to obszerny zbiór ponad siedemdziesięciu listów. To mama musiała go starannie gromadzić przed 1939 rokiem i przed Powstaniem Warszawskim, a Zofia Orleńska zapewne zadbała o to,

by ukryć jego wojenną część w piwnicy domu przy Królewskiej 29 w czasie trwania Powstania.

Nie ma już kogo zapytać, jak było naprawdę.

Książka opisuje także nasz powrót do Gdyni w 1945 roku i co tu zastaliśmy.

Cytaty z prasy, wywiadów czy korespondencji podaję w oryginalnym brzmieniu, by oddać ich koloryt indywidualny i regionalny z tamtych lat.

Dziesiątego Lutego Trzydzieści

Mieszkanie dziadków Krzyżanowskich w Gdyni było duże i jasne; wielkie okna wychodziły na wiadukt kolejowy. Z długiego korytarza na lewo prowadziły drzwi do gabinetu dziadka Jurka – mówiło się „ordynacja”, egzotyczne słowo dźwięczące lekarską tajemnicą – a na prawo do jadalni, do sypialni dziadków, do salonu.

Kamienica należała do dziadków w czterdziestu procentach. Nazwaliśmy ją „Dziesiątego Lutego Trzydzieści”: babcia Jadzia cierpliwie uczyła małego Grzesia, swojego młodszego wnuka i mojego kuzyna, gdzie mieszka. Dziesiątego lutego, data zaślubin Polski z morzem w 1920 roku. Generał Haller rzucił pierścień w fale niedaleko Pucka, i morze już było nasze, polskie. Tylko własnego portu nie mieliśmy, oprócz małego, rybackiego, w Pucku, wiecznie zamulonego nanoszonym przez przybrzeżny prąd piaskiem. Potem nastał czas wojny celnej z Niemcami, a po niej – budowa Gdyni.

Miasto wzniesione na piasku, między wzgórzami a morzem, w pobliżu Gdańska. Gniazdo rodzinne mojego ojca, Jerzego Krzyżanowskiego juniora. I po części także i moje. Bo ja jestem z Trójmiasta.

Kiedy w 1929 roku dziadkowie Krzyżanowscy przyjechali do Gdyni ze Lwowa, najpierw wynajęli mieszkanie u Bednarskiego na Świętojańskiej, a potem u Skwiercza na 10 Lutego. Morze było ledwie pięćset metrów dalej, tuż-tuż. Ulica 10 Lutego nie miała jeszcze bitej nawierzchni i zmierzała ku morzu przez rozgrzebany teren budowy późniejszego skweru Kościuszki.

Dziadkowie. Moi dziadkowie ze strony taty. Doktor Jerzy Krzyżanowski senior i Jadwiga Maria z Krugów. On urodzony w 1898 w Pod-

hajcach, ona w 1904 we Lwowie. Lwowianie i gdynianie. Pochowani na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

Co nie zostało opowiedziane i utrwalone, tego nie ma. Kto nie zostawił po sobie śladu na piśmie, o tym wiemy tyle, ile pozwoli nam zachować kapryśna pamięć. Ona zaś zajęta jest bieżącymi sprawami; przechowuje też naszą historię – to, co wydaje się nam, że pamiętamy, a czego nie potrafimy opowiedzieć, z biegiem lat pamiętamy coraz mniej. Pamięć mojego pokolenia, nazywanego wdzięcznie pokoleniem powojennego wyżu demograficznego, kształtowała się w czasach powolnych zmian, hamowanych przez rytm życia w komunistycznym kraju, w którym wszystko, żeby się mogło zdarzyć, musiało uzyskać na to pozwolenie. Książki drukowano latami, w gazetach nie podawano wiadomości z ostatniej chwili, a nowe budowle wznoszono wolno i z trudem. Robotnicy stali oparci o łopaty, ćmili sporty, które trzymali między kciukiem i palcem wskazującym; mijałam ich z oczami wbitymi w chodnik, czekając, aż bluzną.

Krajobraz Trójmiasta zmieniał się ospale i niechętnie. Niezmienione oblicze gdańskich, gdyńskich i sopockich ulic trwało przez lata: kiedy gdzieś postawili sam, wszyscy wiedzieli, że będzie tam zawsze, z mrugającym na dachu szczerbatym i burczącym neonem, fioletowo-cynobrowym. Na rogu 10 Lutego i Władysława IV w Gdyni stały parterowe pawiloniki handlowe, wzniesione tam „na chwilę” zaraz po wojnie. A w nich prywaciarze handlowali komisowym towarem przywiezionym przez marynarzy z morza i plastikowymi koralami. „Chwila” trwała cztery dekady.

Książka telefoniczna wychodziła raz na pięć lat, życie w Trójmieście toczyło się powoli. Czerwone trolejbusy pojękiwały leniwie na gdyńskich zakrętach. Za oknami dziadków Krzyżanowskich na Dziesiątego Lutego Trzydzieści rozpędzały się żółto-niebieskie wagoniki przedwojennego S-Bahnu z Berlina, które właśnie ruszyły ze stacji Gdynia Główna Osobowa do Gdańska.

Mały Grześ stał na parapecie okna w mieszkaniu dziadków, przytrzymywany przez babcię Jadzię, i patrzył na kolejkę huczącą po wia-

dukcie tuż za oknami; bawełniane rajstopki zwijały mu się na nóżkach w niezliczone obwarzanki, a on mówił, pukając tłustym paluszkiem w ogromne szyby wielkich okien:

– Kejka dansia...

Znaczyło to: kolejka pojechała do Gdańska.

Przedwojenne, niemieckie bądź co bądź wagoniki zastąpiono nowymi dopiero w 1976 roku; i z tym nikt się nie spieszył.

W mieście stały dwa kina, w których ekran był szczególnie narażony na grawitacyjne przygody. Po ekranie galopował ogorzwały Gojko Mitić, przebrany za Winnetou, już-już dosięgały go kule zdradliwych białych twarzy, ale na szczęście za szczytową ścianą kina Delfin długim łukiem z pętli w Oliwie nadjeżdżał, jak wybawienie, czerwony tramwaj. Tory jęczały tuż za ścianą z ekranem, parterowy przedwojenny budynek dygotał, na drżącej ścianie ekran wybrzuszał się, a blade twarze wykrzywiały w sfalowanych i kołyszących się dramatycznie krzakach. Z okienka operatora dochodziły ciche ni to przekleństwa, ni to chichot. Gojko Mitić był uratowany. To samo działo się w kinie Tramwajarz w alei Wojska Polskiego we Wrzeszczu. Kino Tramwajarz stało w środku zajezdni tramwajowej. Tyle że tu okres drgań był krótszy niż w Delfinie, bo płócienny ekran – bardziej napięty.

W uszach brzmiał jazgot o rozwoju naszej socjalistycznej ojczyzny, do którego w latach siedemdziesiątych Gierek dorzucił jeszcze przymiotnik „dynamiczny”. Buczała w kinach *Polska Kronika Filmowa*, schowany za prześcieradłem Andrzej Łapicki przemawiał do nas słodko, ekran burchlił się, łopotał i podskakiwał.

Wszyscy wiedzieli, że Andrzej Łapicki tak musi mówić, że oni w ogóle muszą. „Oni tak mają”, powiadano o Onych.

– Tato, po co czytasz te gazety? – pytałam pod koniec lat siedemdziesiątych. Tata przychodził z pracy, jedliśmy obiad przy kuchennym stole, po czym on zasiadał w fotelu i przeglądał plachty „Dziennika Bałtyckiego”.

– Jak to po co? – odpowiadał, szeleszcząc gazetą. – Trzeba wiedzieć, gdzie żyjemy i co oni nam szykują...

Oni zatem coś tam mówili i pisali w swoich gazetach, a my czekaliśmy mniej lub bardziej niecierpliwie. Wiedzieliśmy, że jak skończą, i tak na drgający ekran wjedzie Gojko Mitić. Jest, jak jest, wiadomo, że nie może być inaczej, widać to, co widać, i słyhać to, co słyhać. Inaczej nie będzie. Trzeba żyć, chociaż nic się nie dzieje. Trzeba patrzeć, może gdzieś rzucą piwo? Tomek, najdowcipniejszy z całej licealnej klasy, tłumaczył:

– Zanim gdzieś pojedziesz, weź pod uwagę, jaka tam jest izobrowara. Znaczący, w zasięgu jakiego browaru jesteś. Żuławy, izobrowara elbląska. Żagle na Jezioraku, izobrowara olsztyńska. Siki. A tu u nas... izobrowara gdańska. Nie do picia, w dodatku browar za torami okropnie śmierdzi słodem. Ale co robić.

Najszybciej budowały się kościoły i rosły drzewa. Tak było, kiedy byliśmy młodzi.

A ciagle przecież nam się wydaje, że nie jesteśmy starzy.

I dlatego – chociaż dzisiaj życie toczy się coraz szybciej, na znanych ulicach powstają nowe budynki, centra handlowe rosną jak grzyby po deszczu, gazety tętnią newsami i nie wiadomo, do czego wychowywać dzieci urodzone jeszcze za komunizmu, które słuchają nas z ironią w tych rzadkich chwilach, kiedy wyłączą empetrójkę – pamiętamy i przypominamy sobie powoli, jakby wszystko było jeszcze w zasięgu ręki, tamten świat: przedwojenni dziadkowie Krzyżanowscy, smakowite zupy gotowane przez Marysię Fusztej, pomoc domową ze Stanisławowa, ulice Gdyni wyłożone granitową kostką, a pod koniec lat sześćdziesiątych pokrywane asfaltem jedna po drugiej...

Na skwerze Kościuszki w Gdyni stał pomnik czegoś nieokreślonego, co dopiero po bliższych oględzinach i wiele lat później okazało się – niestety – Pomnikiem Wdzięczności Armii Radzieckiej. Może za to, że nie spaliła Gdyni doszczętnie? A mogła. Jak spaliła niedaleki Danzig, aż do spodu.

Pomnik: tęga niewiasta, niczym Matka Ziemia postawiona na wysokiej kolumnie, podnosiła sztandar, tuliła dziecko, gdzieś boczkiem wisiał jej kałasz, przeżyła obfitą pierś ku promiennemu jutru, słowem – miała pełne ręce roboty. Rzecz cała, może z wyjątkiem tego

nazbyt już mlecznego cyca, nosiła piękne proporcje, powagę i godność, wspaniale zamykała perspektywę 10 Lutego i zapowiadała znaną bliskość morza tuż za swoimi masywnymi plecami. Na głowie siadały jej mewy.

Nie byłam gdynianką. Wychowywałam się we Wrzeszczu. Oglądałam Cycatkę, kiedy odwiedzałam dziadków Krzyżanowskich. Jeździłam do Gdyni często i chętnie, podrzucana babci Krzyżanowskiej przy różnych okazjach przez moich rozrywkowo-turystycznych rodziców, mamę Olgę, też z Krzyżanowskich, ale innych, i tatę Jerzego, współautora tej książki. Mieszkał tam wtedy Grześ, mój kuzyn. Opiekowała się nim, jak należy, dziewczyna. Owe dziewczyny, najpierw Hela, a później Wisia, zabierały nas na spacer pod Kamienną Górę, na skwery pod muszlą koncertową, na budujący się bulwar nadmorski. Zaintrygowani gapiliśmy się na cycatą panią na potężnej kolumnie. W porcie buczała syrena.

Hela była Kaszubką i przyprawiła raz Grzesia o poważny niepokój. Dostał od rodziców piękny helikopter. Nauczony, że to lata, o, patrz, śmigło się kręci, i nazywa się helikopter, zaprotestował z rykiem:

– To nie Heli koptej! To Grzesia koptej!

Grześ był aseptycznie chowany za sprawą babci Jadzi, która patrzyła na ręce jego matce, dwudziestoparoletniej Honoracie. Już sama instytucja spaceru z nianią dziwiła mnie niepomrotnie, bo u rodziców i u drugiej babci we Wrzeszczu nie chodziło się na spacer. We Wrzeszczu było jedynie podwórko z wrzeszczącą dzieciarnią, a do spacerów nikt nie miał głowy. Wychodziłam na to podwórko, a z podwórka leciało się bawić, najchętniej na cmentarz. O tym, że cmentarz był ponemiecki, jeszcze nie wiedziałam. Cmentarz fascynował mnie: zarastał obficie bluszczem, a granitowe płyty dostojnych grobowców doskonale nadawały się do zabawy w dom. Na największej płycie obowiązkowo organizowaliśmy stół, na mniejszych układaliśmy lalki do snu. W słońcu na płytach ostro odcinały się dziwaczne, niewidziane nigdzie indziej litery. Później okazało się, że to szwabacha.

Zabawami na cmentarzu nie chwaliłam się zanadto, czując przez dziecienną skórę, że to nie spotkałoby się z aprobatą. Może dlatego,

że na Dziesiątego Lutego Trzydzieści dużo mówiło się o bakteriach i zwalczano je konsekwentnie. Przed obiadem myło się ręce z całym ceremoniałem w łazience w czarno-żółte kafelki. Zwyczaj mycia rąk wydawał mi się interesującą nowością, ale nie bardzo mi się podobało, że jest taki rygorystyczny. Bakterie w Gdyni musiały być bardziej zjadliwe niż we Wrzeszczu. We Wrzeszczu bowiem do mycia rąk nikt nie zmuszał.

Kiedyś Grześ został podrzucony do Wrzeszcza; wdrapał się tam na drzewko naprzeciwko domu, a kiedy się po nim wspinał, zatrzymała go niepokojąca myśl. Przywołał do okna swoją drugą babcię, Jasię, grubym głosem pięciolatka:

- Babciu, babciu! Patrz, gdzie ja wlażłem!
- Świetnie, Grzesiu! Dzielny z ciebie chłopiec!
- Babciu, a czy tu na drzewie są bakterie?

Babcia Jasia, chirurg i stomatolog, opuściła bezradnie ręce. Wiadomo, bakterie były w gabinecie dentystycznym, ale czy na drzewie? I czy szkodziły dziecku? Tego nie wiedziała. I nie zamierzała się dowiadywać.

Po upadku komunizmu szybko zlikwidowano i kolumnę na skwerze Kościuszki, i Cycatkę, i wdzięczność, rzecz jasna; wzrok biegnący ku morzu spod bramy kamienicy dziadków na Dziesiątego Lutego Trzydzieści napotyka dopiero pękaty i przysadzisty pomnik Korzeniowskiego na końcu gdyńskiego molo. I komu to przeszkadzało, że zacytuję klasyka? Może Cycatka, i to w złym guście, na pewno niesłuszna, ale po co od razu krzesła łamać? Nawet i w słusznej sprawie, że nie będzie Ruski pluł nam w twarz i zaśmiewał miasta swoimi fizylierkami?

Po Cycatce nie ma zatem śladu. Tylko mewy dalej skrzeczą nad skwerem Kościuszki. Żółte dźwigi uwijają się przy Sea Towers. A te mają być najwyższe w całej Polsce. Przedwojennej Gdyni także jest coraz mniej.

Po dziadkach Krzyżanowskich zostały listy. Cud, że przy pospiesznym likwidowaniu mieszkania, najpierw po śmierci dziadka, a potem babci, nie rozproszyliśmy ich bezpowrotnie...

Dziadek Jurek był pełen radości życia i energii, ale też systematyczny i zdyscyplinowany. Przyjmował pacjentki przy staroświeckim, przepaścistym biurku z ciemnego drewna, z głębokimi szufladami. Leżały w nich kartonowe teczki z dokumentami, dyplomami, rachunkami. Tyle pozostało z przedwojennego i powojennego lwowskiego i gdyńskiego życia.

Dziadek umarł, gdy miałam piętnaście lat. Był kochany, łatwy i ciepły.

– Tylko mi jej nie bijcie – mówił ze śmiechem moim rodzicom, oddawał im noworodka, któremu niedoświadczeni młodzi mogli przecież zrobić krzywdę. Pachniał wodą Cologne 4711 albo przemyślawką. Całował mnie w buzię, uśmiechał się, przytulał i mówił:

– Ziabije i żjem...

Chorował przez ostatnie pięć lat życia. Miał raka krtani. Ostatecznie nie powiodły się wysiłki, aby oszczędzić struny głosowe, a naświetlania bombą kobaltową nie przyniosły pożądanego wyniku. Radykalna operacja zaatakowanych strun pozbawiła go głosu. Chodził cierpliwie i wytrwale do logopedki, która uczyła go mówić bez użycia strun, i chyba nieźle się nauczył. Ja jednak nie bardzo go rozumiałam, więc unikałam kontaktu z nim. Nie złościł się, że go nie rozumiem, ale raz jeden się zniecierpliwiał – i odtąd bałam się być z nim sam na sam.

Dzielnie znosił swoją chorobę, nie użalał się nad sobą i pozostał aktywny. Chodził na dalekie spacerunki po gdyńskich wzgórzach, z mapami setkami. Przedwojenne mapy setki były niezwykle egzotycznym i wyjątkowym towarem, nabytym przez dziadka tuż po wojnie w gdyńskiej hali targowej – zanim znikły bezpowrotnie. W trosce o obronność kraju wydawnictwom kartograficznym surowo bowiem zakazano sprzedaży map w dużej skali, a to na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej. Wróg miał wynurzyć się z wody albo nadejść z zachodu. Moi koledzy, szkoleni w ramach śmiertelnie nudnych zajęć „z wojska” dla studentów, opowiadali, pękając ze śmiechu, jak na wszystkich wojskowych ćwiczeniach, symulowanych natarciach i grach wojennych, wróg zawsze zjawiał się z zachodu. Innego wroga nie było i być nie mogło.

Wszelkie mapy o dużej skali bardzo by ułatwiły wrogowi jego zdradzieckie zadanie. Żeby było wiadomo, skąd on wyszedł, brono-
wało się plaże.

Zajęcia „z wojska” były źródłem nieustannych dowcipów opowia-
danych przez udręczoną studencką publiczność. Na przykład jeden
z wykładowców, proszony przez studentki o przełożenie kolokwium,
wyznał, rozkładając ręce:

– Proszę pań, co ja mogę? Ja przecież niewładny...

Pokładałyśmy się ze śmiechu. Pan patrzył na nas zdumiony.

Nie szkodzi, że wróg zaraz wejdzie do lasu i jego wraży ślad zginie
wśród nadmorskich karłowatych sosenek. Czujność musi być.

Sfatygowane setki z tajemniczymi niemieckimi i polskimi na-
zwami, kupione przez dziadka Jurka w hali, studiowałam godzinami.
Kazano mi obchodzić się z nimi ostrożnie, bo każdy wiedział, że
zniszczona setka to setka stracona bezpowrotnie, nie kupisz takiej już
nigdy i nigdzie.

Oto Langfuhr, czyli Wrzeszcz. Dlaczego tak dziwnie się nazywa?
Bo niemiecki on był? Przed wojną? Naprawdę?

Na Langfuhrze duża plama tuszu. Wylał go tacie na mapę ko-
lega w czasie studiów na pierwszym roku Wydziału Mechanicznego
Politechniki Gdańskiej. Oto Zoppot. Oto Orłowo, przedwojenny
polski kurort z eleganckim molo. Może krótszym niż w Zoppot, ale
ono nasze, polskie. Tutaj dziadkowie Krzyżanowscy przyjeżdżali na
plażę z przedwojennej Gdyni. Tędy, ulicą Przebendowskich, chodził
nad morze kilkuletni tata z Zichą – swoją opiekunką Zofią Orleńską –
i skarżył się, że bolą go nogi. A tu folwark Kolibki. A to czarne to
granica Polski i Gdańska, o tu, na tej rzeczce. A to Kartuzy. No i Brda,
i Wda, pomorskie rzeki sprzyjające kajakowym wyprawom, przemie-
rzone z mamą i tatą składanym paksem, luksusowym enerdowskim
kajakiem skonstruowanym według słynnego niemieckiego modelu
marki Klepper z lat trzydziestych. Paksa rodzice kupili zaraz po ślubie;
jego szafirowy pokład z biegiem lat spłowiwał do niebieskiej szarości,
spalony słońcem swojskich a tajemniczych szlaków: Wel, Drwęca,
Drawa, Gwda, Obra, Zbrzyca i Kłonicznica. Pętla Jezior Raduńskich.

Brda, Wda i Gwda – mamrotałam pod nosem, zafascynowana dudniącymi zbiegami spółgłosek.

Dziadek Jurek brał te cenne mapy i laskę, na łysiejącą głowę kładł płócienną czapeczkę z daszkiem i ruszał na swoje wędrówki. Wracał do Gdyni kolejką elektryczną. Kolejka Wejherowo–Tczew rozpędzała się do pełnej szybkości za stacją Gdynia Główna Osobowa, tuż za oknami dziadków – szyby wtedy drżały – i zaraz potem zwalniała, żeby zatrzymać się na stacji Gdynia Wzgórze Nowotki, przed wojną Wzgórze Focha, obecnie Wzgórze Błogosławionego Maksymiliana Kolbego. Nie miała ta stacja szczęścia do nazw, oj nie miała. Rozumiem, że Maksymilian Kolbe umarł śmiercią bohatera, ale toponimicy są zgodni: mówią, że nazwa własna używana w mieście nie powinna składać się z więcej niż dwu części. Ale w Gdyni to nikomu nie przeszkadza: bo jest tam jeszcze ulica 2. Morskiego Pułku Strzelców...

Do Wrzeszcza jechało się dwadzieścia pięć minut. Na stację Gdańsk Politechnika. Tam mieszkali rodzice, babcia Jasia i ja.

Dziadek dużo czytał i słuchał muzyki. Oboje dziadkowie przepadali za Kabaretem Starszych Panów i zaśmiewali się, słuchając piosenek Wasowskiego i Przybory. Dziadek nucił sobie:

– U ha, tralala, kapturek sześćdziesiąt dwa!

Albo chichotał:

– Czapeczkę nosił z szykiem, czerwoną z kutasikiem...

Wdzięki zaś Kaliny Jędrusik i jej omdlewający głos gromadziły przed telewizorem całe zachwycone domostwo.

Babcia Jadzia chętnie czytywała „Przekrój”. Kupowało się gazetę z programem telewizji na tydzień, babcia przeglądała go dokładnie i podkreślała ołówczkiem wybrane programy.

Za oknami szemrał sobie komunizm, dudniła kolejka, fasady eleganckich kamienic gdyńskich, nietynkowane od dziesięcioleci, pokrywały się brudem, ale u dziadków Krzyżanowskich nadal panował tryb życia przedwojennego inteligenckiego domu. Na stole w stołowym niezmiennie leżał biały adamaszkowy obrus. Mieszkanie zrobiło się mniejsze niż dawniej. Nie było już wprawdzie lokatora z kwaterunku, który pewnego dnia w latach pięćdziesiątych po prostu

przyszedł ze stosownym papierem w rękę i oznajmił, że teraz będzie tu mieszkał, ale kwaterunek jako taki czuwał. W latach sześćdziesiątych mieszkanie dziadków okrojono o dwa pokoje, a za ścianą zamieszkali Maciejewscy – nie mówiło się o nich inaczej niż z przekąsem. Nawet połowa dębowych drzwi wejściowych teraz była Maciejewskich i zawisała na nich wizytówka z mosiężnymi literami, na którą patrzyłam z niechęcią.

Były też sławne imieniny. Jerzego przypadało 23 kwietnia, a Jadwigi 15 października. Zestawiało się razem wszystkie domowe stoły wzdłuż dwóch pokoiów, połączonych wielkimi rozsuwanymi drzwiami. Babcia Jadzia wyciągała z szuflad obrusy, przy talerzach kładło się srebrne sztuce. Przychodzili wszyscy Krzyżanowscy: obaj bracia dziadka Jurka z żonami: Kalikst i Janusz z Busią i Józią. Obu siostrom: Busi i Józii, przyglądałam się zafascynowana, bo Busia była ładną panią, o gładkiej buzi i siwych lila włosach, a Józia wydawała mi się okropnie brzydka. Przychodziła córka stryja Kaliksta i Busi, Krysia Lipińska, słynna w rodzinie z olśniewającej figury, i jej mąż Henryk. Henryk pokazywał Grzesiowi i mnie sztuczkę z odpadającym kciukiem, patrzyliśmy na niego z otwartymi buziami. Czasem przychodziła śliczna Kasia, córka Krysi i Henryka. Młody Kalikst, zwany Małym Lunkiem, syn Kaliksta, nie pojawiał się, bo mieszkał w Zakopanem.

Ale przychodziła zawsze Grażyna, córka Janusza i Józii, która wydawała mi się bardzo ładną i elegancką panią. Paliła papierosa za papierosem – wyciągała je ze srebrnej papierośnicy. Stanowiła zagadkę, gdyż nie miała męża. Poza nią bowiem męża miały wszystkie dorosłe panie. Pozostała na zawsze w rodzinnej anegdocie, ponieważ kiedy pracowała jako sekretarka w jakiejś gdyńskiej szkole średniej, odpowiedziała dumnie interesantowi, który ją prosił o przepisanie czegoś na maszynie:

– Ja tam pizspanną nie jestem!

Opowiadała o tym przy imieninowym stole z ogniem w oczach, stukając papierośnicą w blat.

A starszy syn Janusza, też Janusz, podobno zginął w czasie wojny, rozstrzelany przez gestapo. Ale o tym nigdy się przy rodzinnym stole

nie wspominało, a jak długo byłam dzieckiem, tak długo nie wiedziałam nawet, że Januszowie mieli kiedyś syna.

Przychodzili też przyjaciele Jadzi, państwo Tundakowie. Pani Sława miała klasyczną przedwojenną urodę Jadwigi Smosarskiej, kruczoczarne włosy zebrane w węzeł na karku i uczesane z nieskazitelnym przedziałkiem. Jej wiek pozostawał dla mnie tajemnicą: przyjaciółka babci, ale miała syna zaledwie dwa lata starszego ode mnie? Była prokuratorem i kontrast jej eleganckiej, pańskiej urody z groźną prokuratorską funkcją nieustannie mnie zadziwiał.

Przy stole zasłanym adamaszkowym obrusem zasiadała cała głośna i wzajemnie się przekrzykująca rodzina.

Kiedy moja mama, Olga, poznała mojego tatę i małżeństwo wiślało w powietrzu, ostrzegła go:

– Tylko nie przejmuj się za bardzo, kiedy poznasz moją mamę i jej dwie siostry. One strasznie głośno mówią, wszystkie naraz, klócą się bez przerwy i nie dopuszczają nikogo do głosu.

– Nie szkodzi, jestem do tego przyzwyczajony. Kiedy poznasz mojego ojca, jego dwóch braci i ich żony, zobaczysz, że oni także strasznie głośno mówią, wszyscy naraz, i też nikt nikogo nie słucha...

Przy tym hałaśliwym i smacznie zastawionym stole zdarzyło mi się usłyszeć – wiele, wiele lat później, a były to już ostatnie lata rodziny Krzyżanowskich w pokoleniu moich dziadków – uwagę z gatunku inicjacyjnych, choć dalibóg o to nie zabiegałam. Miałam może czternaście czy piętnaście lat, w każdym razie oboje dziadkowie jeszcze żyli. Przy ogólnym stole toczyła się rozmowa o Krynicy Górskiej: Patria, Kiepura, sanatoria, wody lecznicze, cudowne ozdrowienia mężatek leczących się w Krynicy z bezpłodności... Rozochocony i zawsze rumiany, puciołowaty Janusz, zwany Nućkiem, przechylił się przeze mnie do mojego taty i westchnął zawadiacko:

– Ach, Krynica... Tam to się przed wojną pier...

Nie pomogły przerażone miny taty i wymowne znaki brwiami w stronę nieletniej panienki.

Nućku zresztą nie ograniczał się do krynickich przewag. Szepetano w rodzinie, że po wojnie romansował z panią Konstancją. Józia